

Teksty Drugie 2002, 3, s. 257-264



Salus rei publicae suprema lex

Magdalena Kozarzewska

Magdalena KOZARZEWSKA¹

Salus rei publicae suprema lex

„Cóż, panie Konradzie – *salus rei publicae suprema lex esto*” – usłyszał Jerzy od oficera śledczego w czasie pierwszego przesłuchania w Urzędzie Bezpieczeństwa w nocy z 31 października na 1 listopada 1945 roku. Imię „Konrad” było pseudonimem konspiracyjnym mego męża. Łacińska maksyma została poprzedzona komentarzem naświetlającym sytuację polityczną Polski po zakończeniu wojny i wynikające z tego implikacje. Komentarzem wygłoszonym piękną polszczyzną, inteligentnie i ciekawie sformułowany. Oficer miał piękne, semickie rysy. Był to kapitan Jacek Różański.

Usłyszałam to nazwisko parę tygodni później. Przekazano mi przypadkowo zdobytą informację, że śledztwo w sprawie Jerzego on właśnie prowadzi. Pojechałam do Urzędu Bezpieczeństwa na Pradze, w pobliżu kościoła św. Floriana. W biurze przepustek przyjęto ode mnie prośbę o rozmowę z kapitanem Różańskim, nie żądając żadnych wyjaśnień. Czekałam długo, bardzo długo, wreszcie mnie wywołano i doprowadzono do ponurego, ciemnego gabinetu. W głębi za biurkiem siedział ciemnowłosy, śniady mężczyzna, którego twarz wydała mi się podobna do malarskich wyobrażeń Mefista. Usłyszałam pytanie: „Pani jest żoną Konrada?” „Jestem żoną Jerzego Kozarzewskiego”. „Dobrze pani wie, że to oznacza to samo. Dobrze pani wiedziała o całej jego działalności i korzystała pani z tych dolarów, które on brał”. Przez chwilę nie mogłam dobyć głosu. Po chwili odpowiedziałam, że od czasu wyjścia z Powstania Warszawskiego i po urodzeniu

¹ Magdalena Kozarzewska, emerytowany lekarz-pediatra, jest wdową po poecie, Jerzym Kozarzewskim (1913-1996); wybór jego wierszy *Późne zniwo* ukazał się przed kilkoma miesiącami w Opolu. Publikowana przez nas opowieść jest częścią wspomnień, w których autorka przedstawia swoje starania mające doprowadzić do uchylecia wyroku śmierci na jej męża. Do ułaskawienia doszło (karę główną zmieniono na wieloletnie więzienie), co stanowi zasługę Juliana Tuwima, który interweniował u Bieruta.

dziecka jestem u matki mego męża i na jej utrzymaniu, zajmuję się dzieckiem i o żadnych dolarach nic nie wiem. Oficer nagle zmienił ton. Oświadczywszy, że wie o tym, zaczął mówić, że sprawa Jerzego jest zła, bardzo zła, że wiele głów w niej padnie, bo to sprawa o szpiegostwo na rzecz Intelligence Service, i że nie rozumie, w jaki sposób człowiek tak inteligentny mógł się znaleźć w „takim towarzystwie”. Jego głowy byłoby szkoda, on sam chciałby, aby ta głowa nie spadła. Słuchałam z rosnącym przerażeniem. Jedyne, co zdołałam powiedzieć, to że szukam możliwości podania paczki. Byłam w kilku więzieniach, także na Rakowieckiej, ale nigdy mi paczki nie przyjęto, choć w czasie rewizji domu rodzinnego funkcjonariusze poinformowali, że Jerzy tam jest. Usłyszałam, że mogę podać paczkę za jego pośrednictwem. Nie pamiętam nic z okoliczności jej podania poza tym, że została przyjęta i że – chyba wtedy – spytałam o możliwość uzyskania widzenia. Odpowiedział, że prawdopodobnie będzie to możliwe w późniejszym terminie. Ponowiłam to pytanie podając następną paczkę po iluś tam tygodniach, prawie nie mając nadziei że to widzenie uzyskam. Usłyszałam polecenie, by poczekać w biurze przepustek. Zaczęłam mieć nadzieję, że dostanę pozwolenie. Ku memu zdumieniu zostałam wywołana po jakimś czasie i doprowadzona do samochodu stojącego na wewnętrznym podwórzu. Wskazano mi miejsce z tyłu, koło kierowcy siadł Różański. W drodze nie padło chyba żadne słowo. Gdy wjechaliśmy w Rakowiecką okazało się, że za wylotem Wiśniowej nie ma przejazdu; trwały jakieś roboty. Trzeba było dojść pieszo skrajem jezdni. Różański idący od strony chodnika przeszedł nagle za mną na prawą stronę, mówiąc „Muszę panią chronić. Pani mąż nie darowałby mi, gdyby się pani coś stało”. Stanęliśmy przed główną bramą więzienia. Natychmiast otworzyły się boczne drzwi. Wejście w podwórze, szczyk kolejnych drzwi, przejście przez pawilon, znów drzwi, podwórze, następny pawilon. Ogromne wnętrza z czarnymi szkieletami schodów i chodników prowadzących do cel. Na wszystkich kondygnacjach strażnicy. Różański wydał jakieś polecenie, wprowadzono mnie do pustej celi. Po jakimś – chyba krótkim – czasie wprowadzono Jerzego. Różański wszedł za nim. „Państwo się znają?” „Mój mąż”. „Moja żona”. Jerzy miał poszarzałą twarz i przerażenie w oczach. Słowa więzły nam w gardłach. Czas uciekał. Zaczęłam mówić o córeczce, o matce. Różański wyszedł. Szepnęłam Jerzemu: „Temu oficerowi zawdzięczam widzenie”. Przez Twarz Jerzego przebiegł skurcz. „Nie lubię tego pana” powiedział bezgłośnie. Różański po chwili wrócił. Nie pamiętam nic z dalszych prób rozmowy, nie wiem, ile minut trwała. Usłyszeliśmy że widzenie jest skończone. Różański kazał strażnikowi odprowadzić mnie do wyjścia.

Śledztwo trwało od tego listopadowego dnia do lipca. Ponowiłam próby dostarczania paczek i zgłaszania próśb o widzenia, które w śledztwie nie przysługiwały. Urząd Bezpieczeństwa stał się ministerstwem i został przeniesiony do jakiegoś gmachu na Koszykowej, blisko Alei Ujazdowskich. Biuro przepustek, małe i obskurne na Pradze, znalazło się w obszernym, wysokim pomieszczeniu pełnym światła. Siedząc tam kiedyś z łomocącym sercem i zasychającym gardłem (strach przed tym, co usłyszę i czego się dowiem, towarzyszył mi niezmiennie) do-

strzegłam tuż pod sufitem mały obrazek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, chyba przeoczony przy obejmowaniu tej siedziby. Wydał mi się szczególnym znakiem nadziei. Do gabinetu Różańskiego (już majora) wchodziło się przez sekretariat. Sekretarka była uroczą i okazującą wiele życzliwości i uprzejmości. Nie umiem dziś wywołać z pamięci wielu szczegółów, podejmowanych dalszych starań o paczki i widzenia. Nie pamiętam, czy zaczęło nam – rodzinom – przysługiwać prawo podawania paczek do więzienia w okresie śledztwa. Wydaje mi się, że tak. Na pewno nadal nie przysługiwały nam widzenia. Chyba jeszcze dwukrotnie dostałam zezwolenie na nie. Pamiętam jeszcze zmianę sposobu, w jaki Różański mówił o Jerzym. Mówił z rosnącą wrogością. Pamiętam słowa „zawiodłem się na nim, taki sam, jak oni wszyscy. Słyszysz pani? (do gabinetu dobiegły dźwięki marsza żałobnego – to było jeszcze na Pradze). To tacy, jak pani mąż zamordowali naszego człowieka”. Kiedyś, już na Koszykowej, zaczął mówić o związkach polskiego podziemia z działaniami gestapo. Patetycznym ruchem pokazał szafy stojące wzdłuż ścian. „Te szafy pełne są dowodów zdrady. Nie możemy tego ujawnić, bo społeczeństwo nie wytrzymałoby tego”. Wychodziłam zgnębiona do cna. Kiedyś wybuchnęłam płaczem w sekretariacie. Wchodzący właśnie oficer radziecki spytał po rosyjsku sekretarkę, dlaczego płacze i powiedział coś pocieszającego. Ostatnią próbę uzyskania widzenia podjęłam w drugiej połowie lipca – kończył się dziewiąty miesiąc śledztwa. Różański kategorycznie odmówił oświadczając, że proces rozpocznie się w najbliższym czasie i że widzenia uzyskać nie mogę. Parę dni później pojechałam na Wołę do rejonowego Sądu Wojskowego – w którego gestii sprawa musiała się już znaleźć – z nadzieją, że tam uzyskam zgodę. Niewielka poczekalnia była pełna interesantów, głównie kobiet. Usiadłam czekając na swoją kolej. Było upalne przedpołudnie. Po jakimś czasie zobaczyłam w drzwiach wchodzącego Różańskiego. Skuliłam się odwracając głowę, ale mnie zauważył. Podszedł i zapytał z naganą w głosie: „Czemu pani tu stolki wysiaduje, zamiast w domu dziecka pilnować?” „Bo pan mi odmówił zgody na widzenie, a ja bardzo chcę je uzyskać”. Skierował się do sąsiedniego pomieszczenia. Gdy wyszedł, skinął na mnie ręką. Wyszedłam z nim na schody. Usłyszałam: „Dam już pani to widzenie, ale przepustkę muszę wydać na Koszykowej”. Na podwórzu stał otwarty samochód, w nim kierowca. Różański usiadł obok mnie na tylnym siedzeniu i tak przejechałam z nim z Górczewskiej na Koszykową, gdzie po krótkim oczekiwaniu w biurze przepustkę otrzymałam opatrzony pieczęciami i podpisem druczek. Nazajutrz na Rakowieckiej sprawdzano tę przepustkę bardzo długo, telefonując do jakichś wyższych instancji. Widzenie było krótkie, w celi, tak jak pierwsze, a nie w rozmównicy. Jerzy był spokojny, bardzo napięty i bardzo mizerny. Powiedział, że musimy być przygotowani na bardzo wysoki wyrok. Był już po rozmowie z mec. Mieczysławem Maślanko, obrońcą z urzędu.

Proces rozpoczął się 2 sierpnia w Sądach na Lesznie. Siostra matki Jerzego, Zofia Łempicka, była razem ze mną. Bezdzietna, kochała go jak własnego syna. Zawdzięczaliśmy jej wiele, bardzo wiele i wtedy, i do końca jej życia. Czekaliśmy w niewielkiej grupie nieznanym nam osób. Nagle przez obszerny hol przeszedł

Różański w galowym mundurze pułkownika. Wskazałam go ciotce. „Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że jest taki piękny?” „Bo nie dostrzegłam tego”. Widywałam go zwykle w cywilu, chmurnego, poszarzałego. Mundur uwydatnił smukłość sylwetki, piękne osadzenie kształtnej głowy, regularność rysów. Wkrótce po tym konwojenci przyprowadzili oskarżonych. Jerzy nie zdążył nas chyba dostrzec. Otwarto drzwi sali. Zorientowałyśmy się, że przednie miejsce po lewej stronie sali zajmują przedstawiciele prasy. Różański usiadł po prawej stronie kilka rzędów za oskarżonymi. Wśród obrońców dostrzegłam posępną twarz mec. Maślanki. Wszedł prokurator i kolejni sędziowie, wszyscy w mundurach. Prokurator, major Podlaski, wyraźnie semicki, zaczął odczytywać akt oskarżenia: szpiegostwo na rzecz obcych mocarstw, dążenie do obalenia siłą ustroju PRL, nielegalne przekroczenie granicy. Różański był na sali przez cały pierwszy dzień, zjawił się też w drugim, gdy trwały przesłuchania oskarżonych i świadków, w tym Emilii Malesy (do jej osoby jeszcze wrócę). Potwierdzono kontakty oskarżonych z dowództwem Brygady Świętokrzyskiej w Ratyźbonie. Wtedy prokurator zadał Jerzemu pytanie: czy oskarżony przyznaje, że Brygada Świętokrzyska popełniła zradę narodową wycofując się na Zachód w porozumieniu z Niemcami? Jerzy odpowiedział: „Ja siebie za zdrajcę nie uważam i nikogo z tych ludzi tak nie nazwę”. Wkrótce potem pułkownik Różański wyszedł z sali. W czasie przerwy podszedł do mnie mec. Maślanko. Powiedział, że jest źle, bardzo źle. Pytanie o zradę było kluczowe. Odpowiedź „zadowalająca” mogła być ceną łagodniejszego wyroku. W trzecim dniu procesu, w poniedziałek 5 sierpnia, Różańskiego na sali nie pamiętam. Prokurator zażądał wyroku śmierci dla wszystkich oskarżonych – dla Jerzego z dwóch paragrafów. Mec. Pintarowa broniąca najmłodszego z oskarżonych, Kazimierza Wiśniewskiego, w dramatycznym przemówieniu zawołała: „Nie szpieczy i zdrajcy, ale orlęta polskie siedzą na ławie oskarżonych!”, wywołując tym atak furii prokuratora. Mec. Maślanko przekonywał sąd, że winni są mocodawcy oskarżonych, a nie oni sami. Wszyscy oskarżeni powiedzieli swoje „ostatnie słowo”. Jerzy mówił bardzo pięknie, mocnym, dźwięcznym głosem, wywołując wyraźne poruszenie na sali. Rozprawę zamknięto. Obrońca przekazał mi wolę Jerzego, bym nie przychodziła na ogłoszenie wyroku. Wychodząc, usłyszałam słowa korespondenta – chyba amerykańskiego – że to nie był sąd, ale „szwinstwo i humbug”. Sprawozdania w warszawskiej prasie – obszerne, codzienne – malowały przestępstwa oskarżonych w bardzo ostrych barwach.

Na ogłoszeniu wyroku nie byłam. Czekałam w holu na przeprowadzenie skazanych i wyjście ciotki Zosi. Podszedł do mnie mec. Maślanko bardzo poruszony, mówiąc, że zapadły żądane wyroki śmierci, ale w sentencji wyroku jest zdumiewające zdanie, że Jerzy „działał z czystych pobudek ideowych i bez korzyści osobistej” (takie sformułowanie mi przekazał). Powiedział, że nigdy dotąd nie zetknął się z podobnym komentarzem towarzyszącym wyrokowi skazującemu. Pamiętam dokładnie to sformułowanie – jak się okazało po latach, nie będące dokładnym powtórzeniem słów, które znalazły się w sentencji. Mecenas był zdecydowany wykorzystać je w swoim piśmie do Sądu Najwyższego, w którym wyrok musiał się upra-

womocnić w ciągu paru tygodni. Ja miałam zacząć szukać dojścia do kancelarii Bieruta i złożyć podanie o ułaskawienie. On zaś postara się skłonić Jerzego do tego samego, co nie będzie łatwe.

Historii starań o ułaskawienie, zakończonych interwencją Juliana Tuwima, nie będę tutaj opowiadać. Dzięki tej interwencji zostali ułaskawieni wszyscy skazani. Czworogu zmieniono wyrok na 15 lat, dwóm – w tym Jerzemu – na 10 lat. Nabyliśmy praw do comiesięcznych piętnastominutowych widzeń, listów i paczek bez dodatkowych zezwoleń. Po trzech miesiącach Jerzy został przetransportowany do Wroniek. Więźniowie byli tam poddawani okrutnym szykanom – siedzenie miesiącami, a nawet latami w „pojedynkach”, zamykanie nago w lodowatych karcerach. Nie wiedziałam o tym; Jerzy w czasie widzeń zdobywał się na uśmiech, w listach nie było skarg, ale czułam jego pogłębiającą się udrękę i słuchałam wiadomości przekazywanych szeptem przez inne matki i żony w godzinach oczekiwania na widzenie. Wstrząsająca była relacja o losach Emilii Malessy, wyszeptana przez którąś z towarzyszek niedoli; nie wiem, kim była.

Pamiętałam Malessę jako jednego z głównych świadków oskarżenia w procesie Jerzego. Potem znalazłam jej nazwisko w procesie komendy głównej WiN, obok płk. Jana Rzepeckiego i Antoniego Sanojcy. Malessa, legendarna okupacyjna „Marcysia”, żona „Ponurego”, była szefem łączności WiN. Miałam w pamięci jej smukłą sylwetkę, tragiczną, maskowatą twarz, wysoko wzniesioną głowę. Potwierdziła, że Jerzy udostępnił jej drogę łączności z Zachodem dla kurierów WiN. Dostał takie polecenie, bo szlak Malessy został spalony. Wkrótce potem został aresztowany w jej mieszkaniu. Dowiedziałam się o tym na procesie. Moja informatorka opowiedziała mi, że Emilia Malessa, skazana na cztery lata więzienia, po aresztowaniu ujawniła Różańskiemu swoją działalność i swoje kontakty. Dał jej oficerskie słowo honoru, że ludzie, których ujawni, nie zostaną aresztowani, ale potraktowani tak jak żołnierze AK ujawnieni wtedy przez płk. Radosława. Malessa uwięrzyła. Po wyjściu na wolność rozpoczęła pod więzieniem strajki głodowe, wysyłała listy protestacyjne, wreszcie popełniła samobójstwo podcinając sobie żyły. Zrozumiałam nagle, że Jerzy musiał na początku śledztwa przejść podobną sytuację. Dłatego Różański powiedział, że się na nim „zawiódł”.

W maju 1948 r. dostałam od Jerzego bardzo dziwny list mówiący o jakimś tajemniczym, mistycznym przeżyciu. W tym samym liście przesłany był wiersz napisany w celi wyrokowej „Nie chcę trwać w Tobie gorzkim płaczem”. Pojechałam na widzenie bardzo niespokojna. Zostałam doprowadzona do gabinetu naczelnika, który mnie uprzedził, że mój mąż symuluje obłęd. „Ale my się na tym znamy i my go z tego wyleczymy”. Po tym wstępie dołączono mnie do wchodzącej do więzienia grupy. Jerzy był bardzo zmieniony. Mówił z trudem, zacinając się. Przeżył jakieś olśnienie o charakterze mistycznym, które starał się przekazać mi w liście. Na jakiś czas stracił mowę, nadal trudno mu było znaleźć potrzebne słowa. Wyglądał jak własny cień. Wróciłam zrozpaczona. Próbowałam składać podania do sądu, ale pozostały „bez biegu”. Szukałam w myślach kogoś, kto mógłby podjąć próby interwencji. Trafiłam w prasie na wzmiankę o zbliżającym się Kongresie Po-

koju z udziałem Ireny Joliot-Curie. Odszukałam, chyba za radą mojej ciotki, Stefanii Szuchowej, panią Helenę Skłodowską-Szalayową, rodzoną siostrę Marii Curie. W latach przedszkolnych chodziłam na prowadzone przez nią „komplety” przygotowujące do nauki w szkole. Wspólnie z ciotką poszłyśmy do niej. Pamiętam jej surową, jak mi się wydawało, twarz i onieśmielający sposób bycia. Wysłuchiła mojej relacji i prośby bez komentarzy, ale wydawała się być bardzo poruszona. Poleciała, bym przyjechała do Wrocławia w dniu otwarcia obrad Kongresu i czekała na jej wyjście w czasie przerwy. Pojechałam nocnym pociągiem, zobaczyłam ogrom zniszczeń miasta w świetle pogodnego poranka i koło południa chodziłam tam i z powrotem przed drzwiami gmachu Politechniki Wrocławskiej. Gdy uczestnicy Kongresu zaczęli wychodzić, dostrzegłam wśród nich Tuwima. Przywitał się ze mną serdecznie. W chwilę potem zobaczyłam Różańskiego w cywilnym ubraniu. Obróciłam się błyskawicznie do tyłu i zaczęłam odchodzić w bok. Zdążyłam zrobić niewiele kroków, gdy poczułam rękę położoną na moim ramieniu i usłyszałam słowa pytania „Co pani tutaj robi?”. Odpowiedziałam niepewnie, że czekam na kogoś znajomego. Odszedł bez słowa, a ja ochłonawszy z wrażenia wróciłam przed wyjście. Wkrótce wyszła pani Szalayowa; dowiedziałam się, że Irena Joliot przyjmie mnie wieczorem w hotelu. Przyjęła i kategorycznie odmówiła pomocy prawie ze mną nie rozmawiając. Po wielu latach dowiedziałam się, że pani Szalayowa sama podjęła próbę przyjścia mi z pomocą. Gdy Maria Turlejska wydała *Te pokolenia żałobami czarne* dowiedziałam się od niej, że w *dossier* sądowym Jerzego, w którym nie znalazła śladu interwencji Tuwima, znajdował się list pani Heleny Szalayowej, skierowany do Bieruta, w którym prosiła o skrócenie Jerzemu kary więzienia, a także list Ludwika Solskiego, dawnego serdecznego przyjaciela moich dziadków, Edwarda i Stanisławy Hamanów, do którego zwróciłam się jako do kolejnego orędownika. Nie przyniosły one żadnej zmiany w naszym losie, ale zostały jako ślady ofiarnej przyjaźni.

Spotkanie z Różańskim we Wrocławiu odbiło się później echem, gdy raz jeszcze zwróciłam się o pomoc do Tuwima. Zrobiłam to w kolejnym krytycznym dla nas okresie, przełamując opory płynące z poczucia, że nadużywam jego dobrej woli. Tuwim miał już zamkniętą drogę do kancelarii Bieruta, do której zwracał się jeszcze kilkakrotnie w sprawach kolejnych skazanych ludzi, aż mu powiedziano, że ma się więcej w to nie wdawać. Strapił się bardzo. Po namyśle powiedział, że spróbuje innej drogi, nie wyjaśniając jakiej. Gdy wezwana telefonicznie zgłosiłam się do niego, usłyszałam, że nic z jego starań nie wynikło. Zwrócił się do Różańskiego, ale ten odmówił jakiegokolwiek pomocy, mówiąc że nie tylko Jerzy, ale i ja mam u niego „czarną kreskę”, bo szukałam we Wrocławiu pomocy u ambasadora amerykańskiego. Tuwim dodał, że uprzednio miał okazję poznać Różańskiego, który wydał mu się uroczym człowiekiem. Nie wspomniał, że napisał do niego list. Dowiedziałam się o tym po latach z broszury Urbankowskiego *Czerwona msza*. List zaczyna się peanem na cześć „czystego rewolucjonisty Feliksa Dzierżyńskiego” (Tuwim wtedy tłumaczył jakiś sowiecki poemat o Dzierżyńskim), a kończy prośbą w naszej sprawie. Musiał być on dla Tuwima bardzo upokarzający, podobnie jak niektóre frag-

menty jego uprzedniego wystąpienia do Bieruta. Za obydwoma tymi listami stała wola ratowania zagrożonego człowieka.

W 1951 r. otrzymałam dwuletni nakaz pracy, zobowiązujący mnie do objęcia stanowiska ordynatora oddziału dziecięcego w Nysie. Znalazłam się w zupełnie obcym środowisku, o swojej sytuacji prawie z nikim nie rozmawiałam. Stopniowo budował się koło mnie krąg życzliwości ludzkiej. Znalazł się w nim stary lekarz z pokolenia moich rodziców. Znany był z rozmów z dziećmi spotykanymi na ulicy. Był urodzonym gawędziarzem, opowiadał ciekawie o swojej pracy w Rosji carskiej. Spotkałam go kiedyś w pociągu w drodze na jakieś szkolenie we Wrocławiu. Znaleźliśmy się w przedziale we dwoje. W toku rozmowy usłyszałam nagle zaskakujące zdanie: „Nie lubię pani męża”. Spojrzałam zdumiona. „A cóż pan może wiedzieć o moim mężu?” „To, że porzucił żonę i dziecko”. Zaczęłam opowiadać o naszych losach – pękła tama powściągliwości, którą w sobie zbudowałam. Doszłam do historii interwencji Tuwima. Odmalowując grozę sytuacji, powtórzyłam zdanie wypowiedziane podobno przez Różańskiego po zapadnięciu wyroków: „Prędzej mi włosy wyrosną na dłoni, niż oni wyjdą z tego żywi”. Zdanie to zostało mi powtórzone przez matkę jednego ze skazanych w jakiś czas po procesie. Ja osobiście go nie słyszałam i nikomu nie powtarzałam – poza tym jednym, jedynym razem. Przytoczyłam je, podkreślając wagę interwencji Tuwima, podjętej w stanie krańcowego zagrożenia. Przyjazna życzliwość mojego wiekowego słuchacza sprawiła, że po miesiącach milczenia o naszej sytuacji dzieliłam się naszymi dramatycznymi przeżyciami bez zwykłej kontroli. Stary doktor okazywał mi nadal ogromną życzliwość i szacunek. Nie rozmawialiśmy więcej o sprawie Jerzego. W jakiś czas później przywiózł mi z Warszawy serdeczne pozdrowienia od swego przyjaciela, neurochirurga ze szpitala Dzieciątka Jezus, którego poznałam w okresie odbywania stażów dyplomowych. Był Żydem, należał do partii, cieszył się zaufaniem mojej bliskiej koleżanki odbywającej tam specjalizację. Od niej dowiedział się, że jestem żoną więźnia politycznego. Pomógł mi w uzyskaniu stypendium specjalizacyjnego. Pozdrowienia docierały potem jeszcze do mnie kilkakrotnie. Po kilku czy kilkunastu miesiącach spotkałam kolegę neurochirurga na walmym zjeździe Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie. Bardzo się ucieszył, zamieniliśmy kilka zdań na podeście schodów. Gdy się po chwili odwróciłam, zobaczyłam że podchodzi do mnie niemłody już internista, który znał mnie jako pielęgniarkę społeczną, pracującą w czasie okupacji w oddziale RGO na warszawskim Mokotowie. Wiedziałam że należał do KPP, że miał piękną kartę okupacyjną. Bardzo mnie lubił, żartobliwie ze mną flirtował, bawiąc się moją skłonnością do oblewania się rumieńcem przy lada okazji. Nie widziałam go od lat. Z wyraźnym wzburzeniem powiedział „Czemu pani rozmawia z tym starym donosicielem?” Nie wierzyłam własnym uszom. „Panie doktorze, o czym pan mówi?” Odpowiedział gniewnie, że wie co mówi, odwrócił się i odszedł zostawiając mnie oniemiałą ze zdziwienia.

W jakiś czas po tym zagadkowym incydencie spróbowałam raz jeszcze pójść do Różańskiego. Nie pamiętam już, wobec jakich kolejnych trudności wtedy sta-

nęfam. Gdy weszłam do jego gabinetu, spojrzał na mnie wrogo, jak nigdy przedtem, wyciągnął rękę odwróconą dłonią do góry i powiedział: „Tu mi włosy wyrosną, jeżeli on wyjdzie żywy? Nie mamy o czym rozmawiać, proszę pani”. Przypomniałam sobie rozmowę w pociągu do Wrocławia i spotkanie w Krakowie. Wyszedłam bez słowa. To było ostatnie moje z nim spotkanie.

W ileś miesięcy później, po rewelacjach pułkownika Światły, Radkiewicz został zdjęty ze stanowiska ministra BP, Różański, Fejgin i inni odwołani ze stanowisk, ukazało się oświadczenie III Plenum KC PZPR potępiające popełnione przez nich nadużycia władzy. Różański po odwołaniu ze stanowiska w bezpieczeństwie został skierowany do pracy w Państwowym Instytucie Wydawniczym – pisze o tym Barbara Fijałkowska w książce *Borejsza i Różański* (Olsztyn 1995). W jakiś czas później Różański został aresztowany.

Osobiście raz tylko jeszcze usłyszałam o nim. Spotkałam lekarzkę, która też pracowała w RGO na Sandomierskiej i wielokrotnie angażowała mnie do udziału w niesieniu pomocy rodzinom swoich pacjentów. Dowiedziawszy się o mojej sytuacji, przysłała mi kiedyś z pomocą w dostarczaniu Jerzemu do więzienia jakichś witamin, bo – jak się okazało – została lekarzem więziennym Mokotowa. Opowiedziała mi, że ma pod opieką w szpitalu więziennym Różańskiego, który popadł w bliską obłądłość psychozową – dręczą go zjawy ludzi, których prześladował. Nikomu nigdy o tej rozmowie nie wspominałam. Dziś to już sprawa sprzed blisko półwiecza. Różański kończył wymierzoną mu karę więzienia w areszcie domowym. Zmarł chyba przed jej zakończeniem.

Jerzy po powrocie przez długi czas nie mówił o więziennych przeżyciach. Stopniowo dowiedziałam się o okolicznościach aresztowania, o tym, że po pierwszych przesłuchaniach prowadzonych przez Różańskiego został przekazany innym oficerom śledczym. W śledztwie nie był bity, ale przesłuchania trwające nocami, w czasie których sadzano więźniów na nogach odwróconego stołka, były ciężką udręką. Najwięcej grozy odsoniły jego więzienne poematy i wiersze pisane w ostatnich latach życia. Gdy wysłuchał moich relacji o bytnościach u Różańskiego i jego zachowaniu wobec mnie, powiedział tylko, że więzienne opowiadania o prowadzonych przez niego śledztwach były straszne, a relacje o postępowaniu z więzionymi kobietami – przerażające.

Czemu zawdzięczam fakt, że nie zostałam w żadnym stopniu wykorzystana jako przedmiot lub podmiot szantażu? Do dziś stawiam sobie pytanie, co nas przed takim biegiem wypadków uchroniło. W swojej desperacji i naiwności nie myślałam o takim zagrożeniu. Nie stanęło ono przede mną. Nie stało się narzędziem łamiącym opór Jerzego. Trudno w to uwierzyć, ale tak było.